TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 832 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.. $1.00.
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 19. Chicago, Ill., Czwartek, 12-go Maja, 1898 Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

Chomiak widział Mitkę u Djablej Kałuży, gdzie ten zabił pod nim konia od jednego uderzenia maczugą, i sądząc, że przywalił jeźdzca, przywalił swego własnego towarzysza. Ale twarzy Mitki Chomiak w ogólnem zamieszaniu nie rozpoznał dobrze, i wreszcie nic w niej nie było godnego uwagi.

— Czem chcesz się bić? — spytał znowu zarządzający pojedynkiem bojar, ciekawie poglądając na drągala, który nie miał żadnej broni.

— Czem się bić? — powtórzył Mitka i obejrzał się za siebie, szukając oczami gęślarza, by u niego zasięgnąć rady.

Ale gęślarz musiał się widocznie skryć, bo go Mitka nigdzie nie widział.

— No — rzekł bojarzyn — bierz szablę i stawaj w polu.

Mitka zaczął się oglądać w zamieszaniu. Jego ruchy bawiły cara.

— Dać mu broń, ozwał się — zobaczymy jak się umie bić.

Mitce podano całkowitą zbroję, w którą ten nijak wejść nie mógł. A hełm ledwie mu się trzymał na czubku głowy.

W stroju tym Mitka zupełnie stracił odwagę Obracał się to w prawo to w lewo, ciągle jeszcze myśląc, że odnajdzie gęślarza, który go z biedy wyratuje.

Patrzący nań car jął się głośno śmiać. Za jego przykładem poszli najprzód opryczniсy, potem wszyscy widzowie.

— Czego gardła drzecie — to! — zawołał zły Mitka — ja i bez waszego szyszaka i bez waszej zbroi pójdę na tego.

Tu wskazał palcem na Chomiaka, a zbroję zaczął ściągać.

Nowy śmiech się rozległ.

— A z czem pójdziesz? — rzekł bojarzyn.

Na to Mitka pomacał głowę i spytał zwracając się do opryczników.

— Nie ma tam u was dębczaka? tylko...

Tamci krzyknęli:

— Co ten dureń, zwaryował! zkądeś się wziął! kto go tu wpakował? Czy bałwanie myślisz, że my jak chłopi kijami się bijemy?!

Ale Iwana Wasiljewicza, cieszyła powierzchowność Mitki nie pozwolił go wypędzić.

— Dać mu pałkę — rzekł — niech się bije, jak chce.

Chomiak się obraził.

— Carze, zabroń chłopu drwić sobie z sługi twego — krzyknął. — Uczciwie twojej carskiej miłości w opryczuictwie służę, a od urodzenia ani razu jeszczem się pałką nie bił.

Lecz car był w wesołem usposobieniu.

— Ty się bij szablą — rzekł — a on niech się bije po swojemu. Dać mu drąg! Zobaczymy jak się chłop umie za Morozowa.

Przyniesiono kilka dębczaków.

Mitka brał w ręce po kolei jeden za drugim i przerzuciwszy wszystkie, zwrócił się prosto do cara:

— A czy nie ma czego grubszego? — spytał rozmazanym głosem, patrząc w oczy Iwanowi Wasiliewiczowi.

— Przynieść mu hołoblę — rzekł car, zawczasu już się ciesząc z oczekiwanego widowiska.

Wkrótce Mitka miał już w ręku ogromną hołoblę, którą, dla uśmiechu, wyciągnęli opryczuicy z woza, co stał na rynku

— Cóż? a ta pałka dobra? — spytał car.

— A dla czego nie! — odrzekł Mitka — może się i przyda.

Tu schwycił hołoblę i okręcił ją nad głową z taką siłą, aż wiatr powstał i napędził kurzu dokoła.

— Oj co za czort! — zawołali opryczuicy i spojrzeli po sobie.

Car rzekł rozkazująco do Chomiaka. Stawaj! — potem dodał z uśmiechem:

— Niechno zobaczę, jak to ty się wywiniesz od chłopskiego kija.

— Mitka tymczasem zawinął rękawy, plunął w obie ręce, i trząchał hołoblę, poglądając na Chomiaka.

— Stajesz, czy nie? — zawołał stanowczo — ja cię nauczę kraść baby!

Siła Mitki i niezwykła broń stawiały Chomiaka w dość trudnem położeniu. A widzowie, widocznie trzymali stronę chłopa i z opryczuika już się zaczynali wyśmiewać.

Zakłopotanie strzemiennego cieszyło cara. Już patrzył na mający nastąpić pojedynek z taką ciekawością, z jaką się przypatrywał przedstawieniem hecarzy lub niedźwiedziej walce.

— Zaczynajcie bitwę! — rzekł, widząc wahanie się Chomiaka.

Na to Mitka jął wykręcać nad głową chołoblę, i w podskokach przybliżać się do opryczuika.

Daremnie Chomiak szukał chwili do ugodzenia Mitkę szablicą. Jedyną jego rzeczą było ciągle i prędko wywijać się od chołobli, która czyniąc ogromne koła, nie pozwalała dosięgnąć drągala. Ku wielkiej radości widzów i nie małej pociesze cara, Chomiak wyginał się jak fryga. O uderzeniu Mitki ani myślał, drżał jeno o swoją skórę. A Mitka z niedźwiedzią zręcznością precz na niego nacierał, że chołobla jak burza warczała mu nad głową.

— Ja cię nauczę kraść baby! — mówił, coraz to w większą wpadając wściekłość, i starając się chwycić Chomiaka po głowie, po nogach a nareszcie po czem by się dało.

Wszyscy widzowie głośnemi okrzykami okazywali współczucie Mitce.

Naród zapomniał o obecności cara i krzyczał:

— Tak, tak! dobrze go! dobry chłop broń Morozowa! pokaż, gdzie prawda!

Mitka ani myślał o Morozowie.

— Ja cię nauczę kraść baby! — krzykiwał, wywijał szablą i gonił Chomiaka, który uciekał od niego na wszystkie strony.

Nieraz opryczuicy stojący przy łańcuchu, musieli się schylać do samej ziemi, by uniknąć niechybnej śmierci, gdy chołobla

świszczała nad ich głowami.

Nagle rozległo się głuche uderzenie. Chomiak wyrżnięty w bok, odskoczył na kilkanaście kroków i padł na ziemię z rozczapierzonemi rękoma.

Na placu buknął radosny okrzyk.

Mitka zwalił się zaraz na Chomiaka i zaczął go dusić.

— Dosyć, dosyć! — krzyknęli opryczniey, a Maluta zaniepokojony szepnął Janowi do ucha:

— Carze, każ odciągnąć tego djabła. Chomiak jest jednym z lepszych opryczników.

— Ciągnąć durnia za nogi! — krzyknął car — polać Chomiaka wodą!

Z ledwością udało się oprycznikom oderwać Mitkę, lecz Chomiaka podniesiono już martwego. Gdy wszystkich uwaga była zwróconą na zsiniałą twarz opryczników, koło Mitki znów zjawił się gęślarz włodzimierski, i szarpnąwszy go za połę, rzekł po cichu:

— Chodźże, durniu, za mną; nieś głowę, póki cała.

Obaj zniknęli w tłumie.

XXXII.
Amulet Wiaziemskiego.

Iwan Wasiliewicz przywołał Morozowa. Plac znowu zaległa cisza. Wszyscy utkwili spojrzenia w carze i czekali z przytłumionym oddechem.

— Bojarze Drużyno — rzekł uroczyście Jan wstając ze swego miejsca — Sądem Bosym oczyszczon jesteś przedemną. Bóg co zwyciężył wroga twego, wykazał twoją prawdę, masz u mnie dawne łaski; nie odjeżdżaj, bez mego zezwolenia.

— Ale to — mówił dalej Jan — tylko połowa sprawy. Sam sąd wnet się odbędzie. Gdzie Wiaziemskij?

Przywołano i księcia Afanasja Iwanowicza. Car długo patrzał nań jakimś niewyraźnym wzrokiem.

—Afonia — ozwał się w końcu — wiesz, że dotrzymuję swego słowa. Powiedziałem, że zwyciężony, oddanym zostanie katu. Tyś przegrał, Afonia!

— Ha, to i cóż! — odpowiedział z pewną siebie miną Wiaziemskij — każ mi odrąbać głowę, carze.

Dziwny uśmiech zaigrał na twarzy Jana.

— Tylko główkę odrąbać? — wycedził złośliwie — czy myślisz, że ci tylko główkę odrąbią? Możeby tak było, gdybyś miał tylko sprawę z Morozowem, ale na tobie ciąży jeszcze druga wina. Maluta, podaj tu jego amulet.

I wziąwszy sznurek, przez Wiaziemskiego rzucony, z rąk Maluty. Jan podniósł go za jeden koniec do góry.

— A to co? — spytał, strasznie patrząc w oczy Wiaziemskiemu.

Kniaź chciał odpowiedzieć, lecz car nie dał mu przyjść do słowa.

— Podła duszo — zawołał groźnie, tak aż zimne dreszcze przebiegły po wszystkich widzach — ha, podła duszo! przybliżyłem cię do swego tronu, wywyższyłem, nadzieliłem łaską, a tyś co uczynił? Ty w śmierdzącem sercu swojem uknułeś zdradę przeciwko mnie, carowi swemu, i czarami chciałeś mnie opętać i dla tego, widać prosiłeś, bym cię opryczmikiem uczynił! Cóżto jest opryczmictwo? — mówił dalej Jan poglądając dokoła i podnosząc głos, by go wszystek naród mógł słyszeć. — Ja jako pan winnicy postawionym jest nad narodem swoim by uprawiał swoje winogrona. Bojarzy zaś moi nie chcieli mi dopomagać; umyślili mnie stracić, wtedy odebrałem im swoje winogrona i dałem je do uprawy drugim. Oto jest opryczmictwo! Proszeni na ucztę nie przyszli, posłałem przeto na rozstajne drogi, i zawołałem tych, których napotkano. I to znów jest opryczmictwo! Teraz pytam was wszystkich, na co zasłuży gość, który przyszedł na ucztę nieodziany w szaty świąteczne? Co o nim powiedziano jest w Piśmie? — "Zwiążcie mu ręce i nogi i wrzućcie w otchłań nieprzejrzaną; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów!"

Tak mówił Jan. Naród słuchał w milczeniu tego samowolnego zastosowania przypowieści z Pisma Ś. Na twarzach nie było widać współczucia dla Wiaziemskiego, jeno wielkie zdziwienie z powodu nagłego go upadku najpierwszego ulubieńca carskie-

go. Żaden opryczn ik nie śmiał lub nie chciał wstawić się najmniejszem słówkiem za Wiaziemskim. Wszędzie widać było przestrach. Tylko zwierzęce oczy Maluty wyrażały gotowość do natychmiastowego spełnienia carskich rozkazów. I w twarzy Basmanowa dostrzedz można było złośliwy tryumf, którego napróżno starał się nie okazywać młody opryczn ik.

Wiaziemskij nawet nie myślał się tłómaczyć. Znał dobrze cara i postanowił cierpliwie przenieść oczekujące go męczarnie. Postawę miał dumną.

— Wyprowadź go! — rzekł car — wymyślę dla niego taką samą karę, jak dla tego opryszka, co śmiał wejść do mojej sypialni i oczekuje teraz na mój sąd. Czarownika, z którym się kniaź szedł odnaleść, i do Słobody przyprowadzić! Niech i on w mękach wyśpiewa nam co nowego. Wielką jest złość księcia świata tego — mówił dalej Jan z wzniesionemi do góry oczyma — jak lew ryczący chodzi do koła mnie i szuka, gdzieby mógł użryć i nawet między moimi przybliżonymi znajduje gorliwe sługi swoje. Ale ja ufam w pomoc Boską, i przy pomocy Pana nie dam rozkrzewić się zdradzie na Rusi.

Jan zszedł z pomostu, wsiadł na koń i udał się z powrotem do dworca, w otoczeniu milczących opryczników.

Maluta podszedł do Wiaziemskiego z sznurem w ręku.

— Nie gniewaj się, książę — rzekł z uśmiechem — służba!

I wiąwszy Wiaziemskiego pod straż, odprowadził go do więzienia.

Naród zaczął się rozchodzić, cicho rozmawiając o tem co zaszło, i wnet pusto się zrobiło na placu zapełnionym przed chwilą.

XXXIII.
Amulet Basmanowa.

Wiaziemskij z niezwykłą siłą woli przenosił wszelkie tortury; ani jednego słówka nie powiedział, gdy go pytano, co knuł przeciw carowi. Z dumy czy też z pogardy, czy też dla tego, że mu się sprzykrzyło, nie podkopał nawet potwarzy Basmanowa: bo mógł rzec, że go samego widział we młynie, a nie rzekł.

Z rozkazu cara, młynarz został schwytaonym i potajemnie do Słobody przyprowadzonym. Lecz do torturowania go jeszcze nie przystąpiono.

Basmanow nic nie wiedzący o pochwyceniu młynarza, przypisał skutek potwarzy działaniu tyrlicza, co go zawsze nosił na sobie, i tem więcej był przekonanym o jego czarodziejskiej sile, że Jan nie wykazywał najmniejszego podejrzenia, i chociaż, jak dawniej kpił sobie z Basmanowa, był jednak dlań dość łaskawym.

Po straceniu największego rywala, Basmanow stał się jeszcze dumniejszym. Słuchając rady młynarza, śmiało patrzał carowi w oczy, żartował z nim swobodnie i hardo odpowiadał na jego kpiny.

Iwan Wasiliewicz znosił wszystko cierpliwie.

Pewnego razu, podczas swych zwykłych objazdów, car z ulubieńcami, w tej ich liczbie z obydwoma Basmanowymi, po wysłuchaniu w sąsiednim klasztorze rannego nabożeństwa, zaszedł do celi igumena i raczył przyjąć jego gościnę.

Car siedział na ławce pod śś. obrazami; ulubieńcy, z wyjątkiem Skuratowa, którego podówczas z Janem nie było, stali przy ścianach, a zakonnik, nisko się kłaniając, kładł na stole miód, różne konfitury, garnuszki z mlekiem i świeże jaja. Car był w wesołem usposobieniu, wszystkiego po trochu kosztował, łaskawie żartował i dawał nauki moralne. Z Basmanowem łaskawszym był niż kiedykolwiek, przez co młody opryczn ik jeszcze więcej upewnił się w czarodziejskiej sile tyrlicza.

W tej chwili po za domem rozległ się tentent koński.

— Fedzio — ozwał się Jan — zobacz kto tam przyjechał.

Nie zdążył nawet Basmanow podejść do drzwi, gdy się rozwarły i na progu stanął Maluta Skuratow.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BOGATA DZIEDZICZKA.

(Dokończenie.)

— A skoro zatem pani tak dobrze o wszystkiem jesteś poinformowana, — odezwał się pan Kręcicki, — nie potrzebuję już pani sprawy tej tłumaczyć. To jedno tylko jeszcze pani powiem, że już odebrałem uwiadomienie od urzędu zagranicznego w Londynie. Winszuję pani tego ogromnego, bezprzykładnego szczęścia i oddaję się pani cały — powiedziałbym prawie: z wszelką miłością do dyspozycyi. Gdybyś pani tymczasowo potrzebowała pieniędzy, zanim majątek odbierzemy, możesz pani tymczasem całym moim majątkiem dysponować.

— Nie będę niczego potrzebowała, mianowicie że się spodziewam, iż kapitał niezadługo odbiorę; — odpowiedziała Adelajda chłodno; — dziękuję za dobre chęci.

— Czy masz pani już mieszkanie?

— Stanęłam tymczasem w hotelu angielskim.

— Dobrze, dobrze, dobrze, więc odwiedzę tam panią i rzecz całą ułożymy. Czy wolno mi pani zaraz tamdotąd towarzyszyć?

— Dziękuję panu. Tymczasem tu mam jeszcze pewne obowiązki. Oczekuję pana jutro z rana około dziesiątej, pod numerem czwartym.

Adwokat pożegnał ją, a nawet z wielkiem uszanowaniem pocałował tę, którą nieraz z wzgardą wspomniał, w rękę.

Dopiero gdy pan Kręcicki się oddalił, zawołała pani Bilska Marynię.

— Oto matka twoja, Maryniu, — rzekła zasmucona, bo się obawiała, że dziewczę utraci. — Ona teraz jest bardzo bogatą, jak się dowiedziałam, to też i twoja dola niezawodnie się poprawi. Ale teraz będę ją pewnie musiała wydać — — — ?

— Nie, nie, — odpowiedziała Adelajda, całując dziewczę w czoło. — Jużeśmy dla siebie stały się bardzo obce, a potem nie wiem jeszcze, jak się przyszłość dla mnie ułoży. Pozostaniesz więc tu Maryniu. Nie bardzo temu wierzę, abyś się przy mnie czuła szczęśliwą; ale będę o tobie miała staranie i także o pani nie zapomnę, moja dobra pani Bilska.

— Ja nie potrzebuję niczego, — odpowiedziała wdowa; — daj pani córce ile pani możesz, a przyczynisz się do jej szczęścia. Ma ona bardzo uczciwego narzeczonego, który wprawdzie jest biednym, ale spodziewam się, że go pani teraz nie odepchniesz, gdyś się tak zbogaciła.

— Broń Boże! Owszem, jeżeli to zacny chłopak, to niech go zaślubi. Co ja im dać zamyślam, przyda się obojgu w małżeństwie.

Adelajda widocznie udawała uczucie, którego nie posiadała; czuła się nieswoją w tem otoczeniu, była roztargnioną i niezadługo się oddaliła. Marynia otarła łzę po jej odejściu.

— Nie smuć się, moje dziecko,—rzekła do niej pani Bilska. — Kto wie, czybyś przy matce była szczęśliwą. Może teraz, mając taki majątek, lepsze rozpocznie życie.

Wieczorem, gdy Smiełosz przybył, nie było szczęśliwszych ludzi pod słońcem, jak obie niewiasty i on. Umówiono zapowiedzi i dzień ślubu. Przyszłość przedstawiała się im w najróżowszem świetle.

Bzyl tymczasem błąkał się samotny po ulicach, pełen niepokoju i trwożliwego oczekiwania, jak się szefowi jego przy Maryni poszczęści. Postanowił sobie na przypadek, że pan Kręcicki dostanie odkosza, raz jeszcze popróbować szczęścia.

Nazajutrz z rana, gdy wszedł do bióra, spostrzegł ku wielkiemu swemu zadziwieniu, że Smiełosza jeszcze nie było; wśród dnia także się nie stawił. Gdy o tem z pewną złośliwością adwokata zawiadomił, pozostał tenże na to zupełnie obojętnym i już też nie rozmawiał z Bzylem w dawniejszym poufałym tonie o owej sukcessyi, ale po krótkim czasie wyszedł i pozostawił Bzyla samego ze swem udręczeniem.

— Ha, może się już bezemnie obyć może!—pomyślał Bzyl i zaczął w złości i niepokoju odgryzać sobie paznogcie.

Kręcicki tego dnia po wielu latach po

raz pierwszy starannie się ubierał. Kazał sobie ostrzydz włosy, wysmarować je pomadą i ugładził je starannie, ogolił się gładko, przywdział najdelikatniejszą bieliznę i najlepszy frak, uwiesił u łańcuszka zegarka złote świecidełko, dosiadł do dorożki i popędził po dziesiątej z rana do hotelu angielskiego.

Krótko przedtem rozmawiała jeszcze Adelajda z pewnym panem, który w tym samym hotelu pod numerem piątym mieszkał i wielkiej z nią widocznie żył w poufałości.

— Nie trzeba tracić czasu, — rzekł do niej, — tylko mądrze i stanowczo przy każdem słowie! W razie potrzeby stawię się w stanowczej chwili.

Odszedł pod swój numer, a wkrótce potem zjawił się adwokat. Z wielką czułością powitał Adelajdę, ale ta miała twarz bardzo zasępioną.

— Jesteś, droga pani, rozstrojoną?—zapytał.

— Ach, to nic. W kilku dniach wszystko minie, a potem z lżejszem sercem będę mogła patrzeć w przyszłość.

— O niezawodnie, będziesz pani najprzyjemniejsze wiodła życie! Czybyś pani zechciała łaskawie mię posłuchać, gdybym nasamprzód osobisty przedstawił interes?

— Czemu nie? — odpowiedziała rumieniąc się z lekka.

— Dobrze, a więc jestem tak odważnym, że śmiem w sercu pani rozbudzić stare wspomnienia. Przyznam się pani, że od owego czasu, kiedyśmy się znali, nigdy nie przestałem miłować pani, nigdy o pani nie zapomniałem, nigdy nie przestałem tęsknić za panią.

— Doprawdy? — zapytała z słodziuchnym uśmiechem, a pani Kręcickiemu ani przez głowę nie przeszło, że ona w te jego uczucia bardzo wątpi.

— Tak jest na honor! — mówił pan Kręcicki dalej. — Dla tego też nigdy nie myślałem wstępować w stan małżeński. Tak jest, droga pani, boleść człowieka ogłupia, ale miłość szczęśliwa znowu człowieka odmładnia, a na honor zaręczam pani, że ja nie byłbym od tego, aby się takiemu procesowi odmłodnięcia poddać.

To mówiąc wpatrywał się bystro w twarz Adelajdy, chcąc z niej wyczytać jakie wrażenia słowa jego robią.

— Gdybyś pani chciała, moja droga pani, tobyś pani już mię zrozumiała. Jak przed dwudziestu laty, tak też dziś jeszcze proszę panią, abyś nie wzgardziła moją ręką.

— Pan chyba żartujesz, panie mecenasie, — odpowiedziała Adelajda zasmucona.

— Nie, na honor, mówię na seryo, powiedziałbym nawet, jako przysięgłszy prawnik! Czy nie odrzucisz pani mej ręki?

Adelajda nic nie odpowiedziała, ale widocznie zaambarasowana i zasmucona skubała koronki swej batystowej chustki.

— Nie sądź pani, — mówił adwokat z wielką żarliwością dalej, — abym miał jakiekolwiek materyalne korzyści na względzie, — jestem — mogę to śmiało powiedzieć — bogatym, a zatem tylko bezinteresowna powodować mię może do tego kroku. A teraz, proszę, odpowiedz mi pani bez ogródki.

Adelajda nagle chustką zaczęła ocierać oczy.

— Jakto? Pani płaczesz? Cóż to znaczy?

— Bo cierpię, cierpię okrutnie, — odpowiedziała urywając słowa, jakby wśród łkania. — Ach, pan tego nie wiesz, nie rozumiesz, jakto u samego progu szczęścia można się czuć uciśnionym i nieszczęśliwym! Chciałabym uciekać—uciekać daleko!

— Jeżeli pani dobrze rozumiem, to pani chcesz przez to powiedzieć, że przykro by było dla pani tu spędzić swe życie; ale tego też wcale nie potrzeba. Ja pójdę z panią, dokąd pani zechcesz, do jakiego pięknego miasta stołecznego, albo do jakiej romantycznej doliny, gdzie sobie raj stworzyć możemy. Czy tak?

— Niezupełnie. Ja nie jestem niestety zupełnie wolna. Ale ja panu opowiem, pan musisz wiedzieć wszystko. Gdy byłam w wielkim niedostatku, przyłączył się do mnie — a było to w Akwisgranie, gdzie miałam pracownią haftów — pewien człowiek, który mię wspierał i zasilał pieniędzmi, a za to musiałam ustąpić natarczywemu jego żądaniu i dać mu uroczyste przyrzeczenie, że

go zaślubię.

— Ależ moja droga, takie obietnice prawnie nikogo nie zobowiązują!

— To byłaby najmniejsza! Później, gdy się dowiedziałam o mojem szczęściu, ten człowiek już mię nie popuścił, ale zmusił mię do podpisania weksla na dwadzieścia tysięcy talarów, płatnego po zaprezentowaniu, na przypadek, gdybym z nim chciała zerwać i jego nie zaślubić — a ten człowiek, który się do mnie przyczepił, jak pijawka, jest tu w tym hotelu!

— A co za nieostrożność!—zawołał adwokat z wyrzutam zapominając o swojej roli. — Dwadzieścia tysięcy talarów! I ten człowiek jest tutaj w hotelu?

— Tak jest. On mnie ścigał tudotąd i przyjechał prawdopodobnie tym samym pociągiem. Powiadam panu, że to człowiek niesłychanie niebezpieczny, to djabeł wcielony; on mi na moment nie daje spokoju i każdej chwili się obawiam, aby tu nie wszedł i nie stanął pomiędzy mną a panem. A zatem jakżebym mogła — chociażbym najszczersze miała chęci, chociażby mię serce do tego pchało, — panu jakiakolwiek dawać obietnice, nie będąc wyzwoloną z tych haniebnych więzów, które mię krępują.

— No, — odpowiedział Kręcicki, po krótkim namyśle, — to niech zaczeka, aż powrócimy z Londynu.

— On nie chce czekać, pan się łudzisz! — odparła Adelajda spiesznie i z trwogą. — On mię tu stąd nie wypuści, ale pogroził mi, że każe mię przytrzymać. Sposób na to już znajdzie, zaręczał mi, a powiadam panu, że to człowiek straszny, który gdy pogrozi, to też i dotrzyma. Weksel mi dziś zaprezentował i albo go do wieczora zapłacę, albo z nim muszę pojechać do miejsca do miejsca dawniejszego naszego mieszkania, aby go zaraz zaślubić; potem dopiero chce mi dać wolność dla odebrania pieniędzy. Nie ma więc rady; dziś do godziny szóstej wieczorem najpóźniej muszę być uwolnioną od tego człowieka. Postaraj się pan o pieniądze, panie mecenasie, niech będzie skąd chce, a ja za to panu oddam — wszystko, tylko mię pan uwolnij!

— Hm, hm. I pani chcesz być moją, piękna Adelajko?

— W takich warunkach—całem sercem oddam panu rękę i pójdę z panem do ołtarza.

— Dwadzieścia tysięcy talarów!—westchnął Kręcicki z boleścią.—Czyby ten człowiek nie zgodził się na jaką tymczasową mniejszą odpłatę?

-- Panie mecenasie, czybym ja w takiem położeniu z takim człowiekiem bez ubliżenia sobie mogła wchodzić w układy? Nie, nie, — ja mu powinnam całą tę lichwiarską sumę, — dla nas drobnostkę, — rzucić w twarz, kopnąć go nogą i drzwi mu pokazać!

— Masz pani racyą! Podziwiam energią pani. Dobrze, postaram się o pieniądze natychmiast! A pani tego łotra z satysfakcyą będziesz mogła kopnąć.

Adelajda podała mu z czarującym uśmiechem rękę, którą adwokat do piersi i ust przytulił.

— O jakże będziemy ze sobą szczęśliwi, moja najdroższa! — szepnął Kręcicki z przymileniem.

— Spodziewam się! — odpowiedziała również słodko.

Kręcicki obiecał pieniądze przynieść zaraz po obiedzie i pożegnał swą narzeczoną. I znowu przytulił jej rękę do swych grubych ust, a ona z czarującą kokieteryą nadstawiła mu usta.

— Jesteśmy narzeczeni! — szepnęła.

— Narzeczeni! — powtórzył adwokat uradowany do najwyższego stopnia, że mu się spekulacya tak gładko powiodła.

Idąc do domu zacierał ręce z radości.

— Teraz puścimy w trąbę całą adwokaturę, wszystkie projekta i spekulacye! — mówił sam do siebie. — No, i ożenek także mię zaraz nie zabije. Żona nie będzie niczem innem, tylko naczyniem napełnionem złotem. Złoto! Złoto! to grunt, wszystko inne furda! Czułostki i miłostki pójdą razem z intercyzą, zaraz po ślubie od acta!

Pan Kręcicki zebrał sobie w ciągu ostatnich lat dwunastu niespełna czterdzieści tysięcy talarów, złożonych w rozmaitych pewnych papierach, które obecnie nie stały zbyt wysoko. Z żalem przeto musiał trzydzieści tysięcy zmienić, aby mieć na zapłacenie weksla i podróż do Londynu. Gdy

po południu wychodził z pieniędzmi, aby się udać do Adelajdy, oznajmił mu Bzyl, że Smiełosz do bióra dziś nie przyszedł.

— A to dobrze, bardzo dobrze, — odpowiedział Kręcicki, — to już nie potrzebuję mu sam miejsca wypowiadać. Tak, mój kochany panie Bzyl, co chciałem powiedzieć; ja się żenię, a bióro moje i całą praktykę odstąpię jakiemu młodszemu koledze. Ponieważ cię już dłużej potrzebować nie będę, dla tego polecę Cię mojemu następcy.

To powiedziawszy wyszedł. Bzyl obrócił się na swoim koniku i siedział przez kilka minut niemy jak posąg.

— Poleci mię swojemu następcy, — wyjąknął wreszcie głucho. — To więc ma być moją nagrodą! A ja biegałem jak chart, ja przygotowałem mu cały interes. I on bierze sobie bogatą dzieciczkę, a mnie puszcza z kwitkiem! Swojemu następcy mię poleci? Dziękuję za tę łaskę! Teraz ja ci zabiorę twój projekt gryndерski i pierwszemu lepszemu go sprzedam, ty oszuście zatracony!

Z wściekłością porwał odnośne pismo ze stołu swego pryncypała i z największym pośpiechem zaczął je przepisywać.

Pan Kręcicki wręczył swej narzeczonej przyobiecane 20 tysięcy talarów, na co mu ta kwit wystawiła, bo to dla porządku zawsze potrzebne, jak mówiła. Następnie gawędzili jeszcze czas niejakiś o przyjemnościach przyszłego pożycia małżeńskiego.

— A teraz, mój kochany, dosyć na dzisiaj, — zadecydowała Adelajka pieszczotliwie. — O godzinie szóstej, a zatem niezadługo, zjawi się mój wróg z owym fatalnym wekslem. Potem już będę wolną, a jutro, jeżeli ci to będzie na rękę, możemy się dla przyjemności przejechać po okolicy.

Łasząc się jak kot odprowadziła uszczęśliwionego adwokata aż do sieni i znowu pożegnała go czule, jak pierwej. W dziesięć minut później pojawił się w jej pokoju nieznajomy z numeru piątego i obaj śmiali się do rozpuku.

— Znakomicie się udało, nadspodziewanie! — szepnęła Adelajda z dzikim wyrazem twarzy. — Ale teraz szybko—spieszmy się, mój chłopcze!

Nazajutrz, gdy pan Kręcicki się zjawił, aby swoją narzeczoną zabrać na projektowaną wycieczkę, była stancya pod numerem czwartym zamkniętą. Kołatał i wołał, ale daremnie.

Wtem zjawił się kelner.

— Ta pani już odjechała.

— Odjechała! Mylisz się najniezawodniej. To niepodobieństwem, aby odjechała.

— Tak jest, odjechała w towarzystwie tego samego pana, z którym była przyjechała. Rachunek zapłaciła, a kuferki ich ja sam zaniosłem do dorożki. To wcale hojna dama!

Pan Kręcicki stał przez chwilę podobny do żony Lota, potem w największem przerażeniu wybiegł z hotelu. Nie chciał on, nie mógł przypuścić, aby Adelajda była odjechała, tylko tłumaczył sobie, że wskutek jakiej nieznanej mu okoliczności zmuszoną była przenieść się do innego hotelu. Wziął dorożkę i pędził od jednego do drugiego hotelu, ale daremnie! Narzeczonej swojej nigdzie nie znalazł. I u pani Bilskiej matka Maryni więcej się już nie pokazała.

— Ha, niezawodnie znowu uciekła sobie w świat, — rzekła wdowa do przestraszonego adwokata, — to do niej zupełnie podobne. Żeby jeno ta cała historya z ową sukcessyą nie była oszustwem!

— Głupstwo! — krzyczał Kręcicki, a zimny pot wystąpił mu na czoło. — Przecież mam w ręku urzędowe zawiadomienie.

— No, wiec może pojechała do Londynu, chcąc sama odebrać swoje pieniądze.

To była myśl, która jakoby sztylet przeszyła adwokatowi serce. Natychmiast postanowił zaopatrzyć się w potrzebne legitymacye i co tchu popędzić do Londynu, aby sukcessyą odebrać i aresztem ją obłożyć.

— Niech sobie potem ta żmija pieniądze odemnie odbierze! — syczał pieniąc się ze złości. — Właściwie powinienem był to przewidzieć, że ona swej natury się nie zaprze!

W dwanaście godzin potem pędził pociągiem kuryerowym do Francyi, do miasta Calais. Przybywszy do Londynu, dowiedział się ku największemu swemu przerażeniu, że cała ta historya o sukcessyi z Australii od początku do końca była zmyślona, pieczęć i podpis urzędu zagranicznego były bardzo zgrabnie podrobione i naślado-

wane, a pan Kręcicki stał się ofiarą oszustwa na wielką skalę. Piękne jego talary, na których niejedna łza, niejedne westchnienie, niejedna spoczywała klątwa, przepadły bezpowrotnie! Rzucał się jak waryat, wyrywał sobie włosy i lżył wszystko, na czem świat stoi. Gdy jednakże te hałasy powtarzał jeszcze na ulicy przed pałacem St. James, zbliżył się do niego konstabler, który go przez chwilę bacznie śledził, i dał mu do poznania, że dla hałaśników istnieje w Anglii także komórka.

Pełen wściekłości, boleści, żalu i wstydu powrócił do domu. Rad nierad musiał o tem, co zaszło, zawiadomić policyą, która też na wszystkie strony rozesłała listy gończe, ale daremnie, bo oszuści mieli dużo czasu, aby się bezpiecznie schronić za morzem.

Skończyło się na tem, że cała sprawa rozniosła się po mieście, a nikt pana Kręcickiego nie żałował, ale każdy go wyśmiał; wielu mówiło, że go słuszna spotkała kara. Jedyną więc osobą, na której pan Kręcicki gniew swój mógł wywrzeć, był sekretarz Bzyl.

— Tobie to zawdzięczam, błaźnie, — mawiał adwokat, — że poszedłem do tej starej baby i tam wpadłem — to twoja głupia gorliwość sprawiła.

Bzyl chował te i podobne komplementa do kieszeni i był tylko rad, że już nie potrzebował być poleconym następcy pana Kręcickiego, jako też, że projektu gryndersklego nikomu jeszcze nie sprzedał.

— Ja byłem zawsze człowiekiem najuczciwszym, wielmożny panie mecenasie,— mówił z pokorą; — ale to pewna, że już za żadną sukcesorką tropić nie będę. Jedno tylko mię cieszy - — —

— Cóż takiego cię cieszy?

— Że ten łajdak Smiełosz także wpadł, — bo wczoraj wyszły od razu trzy zapowiedzi jego z córką Adelajdy Hertel z domu Jonas.

— Jak? Co? Ten — — — ? Czyby ten złodziej także należał do spisku? Kto wie, czy ten cały plan oszukania mię nie wyszedł od tej całej bandy? Muszę jeno raz jeszcze udać się do tej starej baby i wziąć ją w egzamin. Możesz pójść ze mną!

Podczas gdy ta narada odbywała się w biórze, było skromne mieszkanie wdowy Bilskiej widownią rzadkiej uroczystości. Udało się bowiem Smiełoszowi otrzymać skromną posadę w biórze pewnej fabryki, o kilka mil od miasta oddalonej, aby więc tamże na dobre się mógł osiedlić i aby pokazać, że pragnie pojąć swoją Marynię, chociaż ta nie jest bogatą sukcesorką, postarał się o dyspensę od dwóch zapowiedzi. Gdy młoda, a pomimo swej biedy szczęśliwa para stanęła przed ołtarzem, zbliżył się także nieznajomy, krzepki już i nie młody mężczyzna, a po ślubie przy wyjściu z kościoła, podał nowożeńcom spracowane swe ręce i rzekł:

— Winszuję wam, dzieci!

Zdziwieni spojrzeli wszyscy na niego.

— Nie znacie mię — nic dziwnego! — mówił nieznajomy dalej. — Więc wam powiem: nazywam się Paweł Jonas i wprost przybywam z Australii. Wypytując się dziś w mieście o krewnych, dowiedziałem się o tej sławnej historyi z Adelajdą i o waszem ślubie tu w kościele. Ona mię wydała za umarłego, więc też dla niej będę umarłym, a wy, dzieci, będziecie mię mieli i cieszyli się mną żywym; a pieniędzy też przywiozłem ze sobą dużo, chociaż nie miliony, to jednawoż wystarczą, aby z mej siostrzeniczki zrobić bogatą dziedziczkę.

Można sobie wyobrazić radość młodych i radość starej ciotki. W tryumfie wszyscy poszli do domu i tu zabrano się do wesołej i obfitej uczty, bo Jonas istotnie bogaty powrócił z Australii.

Wśród biesiady jednakże, gdy Australczyk właśnie wychylił zdrowie młodej pary i kieliszki wesoło zadzwoniły, wszedł do izby pan Kręcicki i sekretarz jego Bzyl. Ostatni schował się za swego pana, wyciągnął swą szyję i zdziwiony wytrzeszczał swe oczy, widząc swego rywala uszczęśliwionego obok swej młodej małżonki.

— Przyjemnej zabawy życzę zacnemu towarzystwu! — zawołał adwokat złośliwie.

Australczyk odezwał się pierwszy i wystąpił naprzód.

— Kto pan jesteś i czego sobie pan życzysz?

— Takiem samem prawem mógłbym ja

pana zapytać, kto pan jesteś? — odparł adwokat.

— Ja się taić nie potrzebuję: jestem Paweł Jonas.

Kręcicki stał z otwartemi usty i wybełkotał mechanicznie:

— Paweł Jonas!

— A pan niezawodnie jesteś tym oszukanym adwokatem, który upatrzył sobie taką bogatą i cnotliwą sukcesorkę i—wpadł?

— Tak, to on! — powtórzyła pani Bilska.

— Jeśli tak,—mówił dalej Australczyk — to pan sam przyznasz, że tu nie miejsce dla pana, bo nie mamy ochoty dać sobie spokój zakłócać.

Pan Kręcicki nie czekał powtórzenia tego wezwania, ale z wiernym swym giermkiem Bzylem wyniósł się do domu.

KONIEC.

KRZYŻ PRZY DRODZE.

(OPOWIADANIE PROBOSZCZA BAWARSKIEGO.)

Trudno istotnie powiedzieć, czy może być na świecie okolica uboższa a zarazem piękniejsza, jak ta, w której moja parafia była położona. Ludek poczciwy przez rok cały walczyć musi z niedostatkiem; wiosną i latem uchodzi to jako tako, bo ma robotę i rola mu tyle przyniesie, że chleb im starczy aż do Bożego narodzenia; ale potem aż do wiosny obywać się musi samemi ziemniakami, a mimo to zadowolony jest i szczęśliwy. Na śniadanie kartofle, na obiad kartofle z kwaśnem mlekiem, a na wieczerzę dla odmiany kwaśne mleko z kartoflami, oto całe pożywienie tych, co w domu jadają; węglarze zaś i robotnicy pracujący w lasach, nie mają przez cały tydzień innego pożywienia, tylko chleb suchy i kartofle ze solą. Cudzoziemiec, który w te strony zawita, nie widzi tej wielkiej nędzy, bo te nieliczne grunta, które pomiędzy lasami rządowemi pozostawione są mieszkańcom, dobrze są uprawione, łąki otaczające małe strumyki bujną porosłe są zielenią, a po wsiach, dworkach i domach natstaranniejsza panuje czystość i schludność.

Krajobraz tu jest istotnie malowniczy. Góry Wogezy piętrzą się tu w urozmaiconych kształtach, tworząc liczne wązkie doliny. Tu jest siedlisko starych baśni i podań; tu liczne ruiny zamczysków opowiadają o minionej chwale i potędze.

Jeden z najpiękniejszych i największych wsi tej krainy jest Fiszbach, nad rzeką Zauer, która się w roku 1870 zarumieniła od krwi francuskiej i niemieckiej pod Woerth przelanej. Wieś położona jest na lewym brzegu rzeki, podczas gdy na prawym jej brzegu stoi prastara kapliczka św. biskupa Ulryka, miejsce licznych pielgrzymek. Ćwierć mili od tego miejsca jest huta żelazna, skąd najpiękniejszy na całą okolicę przedstawia się widok.

Idąc od wsi drogą ku francuskiej granicy do owej chuty, natenczas widać naprzód w prawo i w lewo od doliny ogromne odłamy skał, a dalej ku górze las sosnowy, pod którego zielonym dachem tuż przy drodze stoi mały krzyż, na którym ja dnia pewnego daremnie szukałem napisu albo daty, aby odgadnąć krzyża tego znaczenie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — zabrzmiał naraz głos od drogi, a gdy się odwróciłem, ujrzałem starego, dziewięćdziesięcioletniego Andrzeja, który na kiju oparty, z uśmiechem się mnie przypatrywał.

— Co tam jegomość robi? — zapytał gdy mu odpowiedziałem. — Jegomość zapewne patrzy, czyby tego krzyża nie można pomalować?

— Nie, mój Andrzeju. Chciałem się tylko przekonać, czy tu nie ma jakiego napisu, z któregobym mógł odgadnąć, jak się ten krzyż tu wziął i jakie on ma znaczenie.

— To ja jegomości opowiem, — odrzesł

starzec; — służyłem wtenczas za parobka u oberzysty pod koroną, gdy się ta historya wydarzyła, i ja się także przyczyniłem do ustawienia tego krzyża.

To powiedziawszy przystąpił do mnie, a gdyśmy zasiedli na odłamie skały i ja go poczęstowałem tabaczką, rozpoczął swoje opowiadanie:

— Jegomość niezawodnie już wie o tem z książek, że wieś nasza należała kiedyś do trzech działów. Hrabia Dahn, książę biskup Śpiru i hrabia Waldenburg pobierali podatki i dziesięciny. Przy tem wszystkiem było nam wtenczas daleko lepiej, jak teraz, bo w lasach rozliczne nam przysługiwały prawa, a potem gmina nie była tak liczna, jak teraz.

Miałem wtenczas lat szesnaście, gdy ojciec mój pewnego wieczora krótko przed Bożem Narodzeniem powrócił do domu i rzekł:

— Andrzeju, zgodziłem cię w służbę do oberzysty pod koroną. na św. Szczepan stawisz się u niego.

Na tem się skończyło, bo wtenczas jeszcze nie było tak, jak po dziś dzień, gdzie każdy dzieciak chce mieć swoją wolę i rodziców już nie chce słuchać. Bardzo chętnie w tę służbę się nie udawałem, bo naprzód byliśmy temu gospodarzowi winni sporą sumkę za wino i wódki, którą ojcu mojemu — niezawodnie podwójną kredką — dawał na kredyt, a potem powszechnie znaną było rzeczą, że on sam najwięcej pił u siebie, że był bezbożnym grubijaninem, który żonę i dzieci bił nielitościwie i nigdy do kościoła nie chodził. Ale cóż miałem zrobić? Musiałem słuchać i też wskutek przedstawień matki, ani jednem słówkiem się nie opierałem. Matka też niezawodnie o mojej niechęci pomówiła z ojcem, albo też ojciec sam takową dostrzegł, dosyć, że kiedy mię w dniu św. Szczepana ojciec do gospodarza zaprowadził, rzekł do niego:

— Przyprowadzam ci, gospodarzu, Andrzeja; ale to ci zapowiadam, abyś się z nim dobrze obchodził. Wiesz o tem dobrze, [illegible] już innego parobka nie dostał; a gdy się z Andrzejem źle będziesz obchodził i on ci uciecze, to ja ci drugi raz nie przyprowadzę. Spamiętaj to sobie!

Istotnie też nie miałem powodu do narzekania. Dla swej żony i dzieci był gospodarz takim samym grubijaninem, jak poprzednio, ale dla mnie był zawsze uprzejmym i dobrym. Gospodyni była kobietą zacną, pracowitą i gospodarną, dobrą dla sług i domowników, miłosierną względem ubogich, pobożną i religijną. Nieraz słyszałem, gdy mąż ją sponiewierał, jak potem wzdychała: "Ach Boże, dodaj mi cierpliwości i dopomóż mi do znoszenia tego ciężkiego krzyża!"

Cokolwiek lepsze nastały w domu czasy, gdy najstarsza córka Maryanna, poszła za młynarza Bernharda, bo była upartą i kłótliwą jędzą, brzydką z rudemi jak lis włosami. Ta zawsze u ojca nawarzyła tego piwa, które potem matka jej i młodsze rodzeństwo wypić musiały. Później jednakże mąż jej za to w dwójnasób odpłacił, a ona w Ameryce umarła w nędzy.

Skończył się pierwszy rok mojej służby, a jakkolwiek u gospodarza mogłem się zarazem wyuczyć piekarstwa, to jednakowoż wypowiedziałem mu służbę, aby się z tego domu wydobyć. Nie mogłem jednakże się zwolnić, bo dług moich rodziców nietylko się zmniejszył, ale przeciwnie powiększył, a gospodarz groził, że rodziców każe wyfantoweć i zamknąć do kozy, gdybym miał się oddalić; tak więc musiałem zostać na rok następny.

Tymczasem we Francyi wielkie gotowały się niepokoje; i w naszej oberzy zawsze było głośno, ilekroć Francuzi z Alzacyi przybywali. Gospodarz nasz religijnym nigdy nie był, o tem wiedziało we wsi każde dziecko; a mimo to ciarki mię przeszły, gdy pewnego dnia przejeżdżający Francuzi rozmawiali o nieudanej ucieczce króla i mówili, że łatwo to głową będzie musiał przypłacić, gospodarz zawołał:

— A cóż tam komu na tem zależy, czy jeden mniej lub więcej po świecie się tłucze! Jabym pierwszy sam chętnie mu uciął głowę, gdyby mi tylko dobrze za to zapłacili.

Obyło się bez gospodarza; zamordowano króla bez jego pomocy, a potem niepokoje dopiero na dobre się rozpoczęły. Jego-

mość lepiej wiesz o tem odemnie, jak się to stało i jak się skończyło.

Pewnego wieczora dało się słyszeć bębnienie, a drogą od Steinbach nadciągał do wsi oddział Francuzów. Nie trudno odgadnąć, co nam się na ten widok działo. Ale na szczęście nie była to rewolucyjna hołota, która się później do nas zwłóczyła, zanim jeszcze Napoleon ujął Francuzów w swoje karby; byli to sami porządni żołnierzy, a niektórzy z nich wcale nieźle mówili po niemiecku. Od nich to dowiedzieliśmy się, że i my będziemy przygarnięci do rzeczypospolitej, że nas obdarzą wolnością, że się nad nami skończy panowanie cesarza i już nie będziemy potrzebowali opłacać dziesięciny. Wtenczas taka radość była we wsi, jak gdyby każdy od razu miał zostać majętnym człowiekiem, a najbardziej radował się gospodarz. Czterech najstarszych oficerów umieszczono w naszej oberzy, a ja wtenczas dowiedziałem się więcej, jak inni mieszkańcy wsi, co się działo na świecie i jakie Francuzi mieli zamiary, bo służący oficerów mówili jako tako po niemiecku i my ze sobą gawędziliśmy, gdyśmy w stajni oprzątali konie.

Jeden z oficerów miał przy sobie kassę, tresor, jak oni tam mówili, i wypłacał żołnierzom myto. To też można sobie wyobrazić, że w oberzy wesołe było życie, a gospodarz, jak zauważyłem, podwójne ceny kazał sobie płacić za wino. Jedno mi się wcale nie podobało. Gospodarz dawniej nie uczęszczał nigdy do kościoła i w ogóle nie żył jak chrześcianin, ale przynajmniej nie wygadywał na naszego księdza proboszcza, bo cała nasza parafia duszą i ciałem do niego była przywiązaną. Od czasu jednakże, jak tu byli Francuzi, już się nie wstrzymywał, chociaż mu proboszcz nic złego nigdy nie był uczynił. Wygadywał tak na niego i do tego stopnia go lżył, iżby pies kawałka chleba nie był wziął od niego. Raz nawet posunął się do tego, że publicznie wypowiedział groźbę, że jeżeli ten "pop" wnet sam sobie nie pójdzie, to on mu dopomoże. Opowiedział o tem matce, która znowu doniosła o tem siostrze proboszcza. Później gdy Francuzi Pana Boga złożyli z tronu i zakazali religią wyznawać, musiał się proboszcz w rzeczy samej usunąć, ale parafian swoich nie opuścił. Tu podle, w Rumbach, gdzie — jak jegomości wiadomo — sami są protestanci, miał proboszcz bezpieczne schronienie, a kto chciał dziecko ochrzcić, spowiadać się, lub też zawrzeć śluby małżeńskie, ten wiedział, gdzie się można dopytać, w której nocy proboszcza będzie można zastać tam na dole w kuźni. O tem dowiedział się też nasz gospodarz i pewnej pięknej nocy wybrał się z kilkoma łobuzami, aby księdza proboszcza pochwycić. Strzelił też nawet do niego, ale go nie trafił, a wielki brytan kowala odpędził go z całą zgrają od kuźni, tak że proboszcz bezpiecznie powrócić mógł do domu. Ale, jak już mówiłem, to było później, a ja to tylko na to powiadam, abyś jegomość wiedział, jaki to z tego gpspodarza był człowiek.

Francuzi byli już może tydzień we wsi, gdy pewnego wieczora nagle uderzono w bębny na alarm. Nadchodziło cesarskie wojsko, a żołnierze rzeczypospolitej chcieli się we wsi bronić. Trudno sobie wyobrazić, jaki był we wsi całej krzyk i lament. Stary sędzia pokoju Lagass błagał najstarszego oficera na klęczkach, aby nad biedną wsią miał litość; mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy wśród łez popierali jego prośby, ale daremnie. Pan Bóg jednakże sam zesłał pomoc. Pułkownik wysłał szpiegów, aby się dowiedzieć, jakie są siły nadchodzącego cesarskiego wojska. Doniesiono mu, że kilka tysięcy wojska w zwartych szeregach postępuje od doliny Szlettenbach ku kuźni i za Piotrową skałą ku górnej części wsi. To skutkowało. Francuzi uciekali na łeb na szyję i musieli zostawić nawet część bagaży i kassę, którą oficer dał gospodarzowi do przechowania aż powrócą. Jegomość znasz przecież dziwacznie zbudowany dom dawniejszej gospody pod koroną: oto bagaże oficerów schowano czemprędzej do przybudowania u szczytu od strony śpichlerza, gdzie z pewnością nikt by jej nie był szukał, a kassę schował gospodarz do szafy, gdzie i swoje pieniądze zwykł był przechowywać.

Na tem zeszło tyle czasu, że zaledwie ostatni Francuzi znikli za skałą przy ka-

...licy gdy już pierwsi cesarscy żołnierze pojawili się z poza skał Piotrowych przed kuźnią. Pamiętam to bardzo dobrze, jak gdyby to dziś się było stało. Tam na dole przy Żebraczej skale zatrzymało się całe wojsko, a oddział składający się z pięćdziesięciu ludzi, wyruszył ku wsi. Tam przy krzyżu jednak oczekiwał ich stary Lagass, powitał ich jako ziomków i zapewnił ich, że we wsi już niema ani jednego Francuza. Na to posłano wiadomość pozostałym, a niezadługo całe wojsko do wsi wyruszyło. Dotychczas mieliśmy w oberzy wkwaterowanych tylko ośmiu żołnierzy z oficerami, teraz zaś napełnione były wszystkie stajnie i śpichlerz. Gospodarz teraz zupełnie się zmienił; naturalnie, bo pułkownik zaraz odwiedził księdza proboszcza i nazajutrz poszedł ze swymi ludźmi do kościoła na mszą św. Byłby się więc licho wybrał, gdyby się przed katolickimi oficerami Austryi był popisywał niewiarą rewolucyonistów francuskich. Jakkolwiek zanadto we wsi było wojska, zanadto na nas biednych ludzi, to jednakowoż wszystkim żal było, gdy nas po kilku dniach cesarscy opuścili. Pozostało we wsi tylko pięćdziesiąt żołnierza z jednym oficerem; reszta poszła dalej przez wilczy młyn, gdzie także pozostało pięćdziesiąt żołnierzy załogi.

Teraz jednakże nie było tak jak dawniej; dwudziestu i pięciu z naszych pięćdziesięciu strzelców stało bezustannie na warcie tam przy tej skale, którą do dziś dnia Wartą nazywają; reszta z oficerem była we wsi. Tak wszystko regularnym toczyło się biegiem, a nikt w swych codziennych zatrudnieniach nie doznał od żołnierzy przeszkody. To też gospodarz, korzystając z czasu, postanowił wybrać się do Palatynatu po wino, bo już mu się w sklepie kończyło. Byłem właśnie zajęty przygotowywaniem woza, a na dworze zaczynało się ściemniać, gdy naraz nieznajomy jakiś człowiek pojawił się na podwórzu. Przypatrzyłem się mu bliżej i poznałem zaraz owego francuzkiego oficera, który miał kassę wojskową pod swoją strażą.

— Do kata, — zawołałem, — skąd pan tu przybywasz?

— Przyszedłem po to, co zostawiłem,— odpowiedział łamaną niemczyzną.

— A czy pan nie wie, że tu mamy cesarskich żołnierzy?

— Wiem, że tu są cesarscy, ale ja muszę pomówić z gospodarzem.

— Gospodarz jest w izbie, a na szczęście jest cesarski oficer u sędziego pokoju, gdzie zawsze wieczorem grywał w karty.

Francuz wemknął się czemprędzej do domu, a ja za nim, aby gospodyni powiedzieć, kto przybył. Wiedziałem, że była w kuchni i przysposabiała wieczerzę.

— Na Boga!—zawołała, — gdyby nasz oficer powrócił, byłaby okropna awantura!

— Ej, nie przyjdzie on zaraz, gospodyni,—odpowiedziałem, — toć u sędziego pokoju zajęty jest kartami.

— A czego on tu chce?

— Pomówić chce z gospodarzem.

— Aha, wiem już. Wszakże tu kassę swą dał na schowanie, a bagaża jego także tu pozostała, więc niezawodnie chce coś zabrać.

To powiedziawszy weszła do izby, a ja poszedłem do okna, prowadzącego z kuchni do izby, skąd mogłem słyszeć i widzieć, co się w izbie działo.

— Basiu, — rzekł gospodarz, — dawaj czemprędzej co do zjedzenia dla tego pana, zanim nasz cesarski nadejdzie. On tu przyszedł zabrać to, co zostawił. Ja go odprowadzę, aby w powrocie nie zbłądził i bezpiecznie przeszedł.

Francuz widocznie się na to zgodził, bo przytakiwał głową. W kwadrans potem wyszedł z gospodarzem z domu, a gdy przechodzili około stajni, słyszałem, jak pytał:

— Czy daleko ode wsi?

— Blisko, tu zaraz na prawo przy skale.

W tej chwili padło światło mej latarni na przechodzących a teraz dopiero spostrzegłem, że Francuz nie miał na sobie munduru, ale tylko ciemne spodnie i płaszcz pospolity, jak go u nas po wsiach noszą.

Ukończywszy swoją robotę, udałem się do domu rodziców, którym opowiedziałem, co zaszło i o zwykłym czasie udałem się na spoczynek. Przededniem jeszcze wyjechał gospodarz do Palatynatu. Około godziny dziesiątej przed południem nadbiegła dziewczka z huty Saarbachskiej i powiedziała

nam, że tam w boru leży człowiek obok drogi. Dziewczynka odebrała chleb, któryśmy rodzicom jej regularnie dostarczali i odeszła znowu do domu. W godzinę potem pojawił się żołnierz cesarski i pytał o oficera. Żołnierz wyglądał przerażony, więc zapytałem go, co się stało.

— Przedewsią leży człowiek, którego— zdaje się — zamordowano, — odpowiedział.

— Zamordowano?

— Tak, najprawdopodobniej, bo czaszkę ma od tyłu rozbitą.

Nie będę zbytecznie przeciągał mego opowiadania. Gdy zamordowanego do wsi przyniesiono, poznaliśmy zaraz naszego francuskiego oficera. Dzieci, które tę wiadomość przyniosły do domu, płakały i narzekały, bo to był bardzo dobry człowiek. Często on piastował małego Józefa i Helenkę miał obok siebie i wtenczas czuł się szczęśliwym. Mówił on nam nieraz o swej żonie i dzieciach, które musiał opuścić, a gospodyni nieraz łzy z ócz ocierała, widząc z jaką tęsknotą wspominał swoją rodzinę.

Żołnierz miał racyą; nieszczęśliwy był zamordowany. Ja domyśliłem się, kto był mordercą, ale żadnego nie miałem dowodu; dla tego też nic nie mówiłem, gdy powróciłem do domu po obejrzeniu trupa. Udałem się do stajni, aby się z nikim nie spotkać, bo okropna ta tajemnica piersi mi tłoczyła, a jakże łatwo w toku rozmowy mógłbym zapomnieć o tem, że niewiasta, która najszczerszy współudział czuła dla zamordowanego, była żoną gospodarza. Gdy później, jak to codziennym jej było zwyczajem, przyszła do stajni, aby się przekonać, czy bydło oprzątnięte, zdawało mi się, że się o dziesięć lat podstarzała od czasu, jak ją ostatni raz widziałem. Oczy jej były zaczerwienione od płaczu, a twarz jej pokryta była trupią bladością.

— Czy słyszałeś, Andrzeju, co się stało? — zapytała.

— Słyszałem i widziałem go nawet.

— Widziałeś go, a nie przyszedłeś do mnie, aby mi wszystko dokładnie opowiedzieć?

— Bo mnie to zanadto bolało; szkoda go, bo był taki dobry i zacny.

— To prawda, Andrzeju. Jak moje dzieci po nim płaczą! Mógłby kto myśleć, że to własny ich ojciec.

— A jak dopiero żona i dzieci jego będą płakały, gdy się dowiedzą, że ojciec ich tak haniebnie został zamordowany!

— Milcz, milcz! — zawołała gospodyni i twarz ukryła w dłoniach. Pierś jej pracowała gwałtownie, włos rozpuszczony spadał jej w nieładzie z ramion, a pot kroplisty wystąpił jej na czoło. Padła na stojące opodal przewrócone koryto.

Okropna zapanowała cisza; dziś jeszcze gdy na to wspomnę, włos mi się jeży. Przeczuwałem, jakie myśli teraz nieszczęśliwą niewiastę dręczyły. Szukała w myśli mordercy i znalazła go; nie był to kto inny, jak własny jej mąż, ojciec jej dzieci!

Wreszcie zaczęła szlochać, a łzy rzęsiste wypływały z pod jej ręki. Dzięki Bogu! pomyślałem sobie, teraz jej lżej nieco będzie. — I tak też było; po kilku minutach podniosła znowu głowę.

— Andrzeju, — odezwała się, — czy wiesz, dla czego to morderstwo takie dla mnie straszliwe, takie okropne?

— Nie wiem, — odpowiedziałem nieśmiało.

— Nie zmyślaj, powiedz otwarcie, ty wiesz to dobrze, bo inaczej ty pierwszy byłbyś mi tę wiadomość był przyniósł.

Spuściłem oczy i milczałem.

— Dla czego nie odpowiadasz? Ty wiesz to dobrze, a nie chcesz powiedzieć. Proszę cię, Andrzeju, jedno tylko powiedz słówko, bo inaczej dostanę pomięszania zmysłów; powiedz tylko, że wiesz, a to mi wystarczy; bo to okropnie pomyśleć, że może bez wszelkiego powodu, bez pewnego przekonania, własnego męża — — —

— Cicho, gospodyni! — zawołałem — milczcie, nie wypowiedźcie tego! Ja wam chętnie powiem, co myślicie, tylko nie wymieniajcie tego okropnego słowa!

— O ukrzyżowany Zbawicielu!—rzekła nieco uspokojona, — więc jeszcze krzyż mój nie był dość ciężki! Jeżeli wszystką gorycz życia mam już skosztować, to wspieraj mię przynajmniej łaską swoją świętą!

Płakałem jak dziecko, bo szczerze żal mi było biednej kobiety.

(Dokończenie nastąpi.)

W. BOGUSŁAWSKI

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GORALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

SPRAWA VII.

Bardos i Bartłomiej.

Bartłomiej.

Co widzę,
Cy mnie co oćmiło? cy?

Dorota.

Ach mój mąs, uciekaj!

Stach *(n. s.)*

Dalej do wiezby.

(włazi w wierzbę.)

Bardos

(zatrzymuje młynarza i odwraca go w przeciwną stronę, aby nie widział, gdzie się Stach chowa.

Panie młynarzu, zaczekaj,
Patrzno, jak śliczny jastrząb w tę wierzbę się chowa.

Bartłomiej.

Ej daj mi WPan pokój, cós się to ma znacyć,
Tyś się tutaj ze Stachem ściskała.

Dorota.

Ot, głowa,
Chyba ci się psyśniło, musiałeś źle bacyć,
Skąd tu Stach?

Bartłomiej.

Psecie tu był.

Dorota.

Oto byś nie bzduzył,
Dopiero com tu wesła.

Bartłomiej.

Tociem nie pijany.

Bardos.

Może wam się to tylko zdało.

Bartłomiej.

Mój kochany
Panie, gdybyś mnie nie był tym jastsębiem zduzył,
Byłbym go złapał.

Bardos.

Ale skądże zaś, ja przecie
Mam też oczy, a nicem nie widział.

Dorota.

Ot, plecie.

Bartłomiej.

Jesce ci tak pyskujes, pocekaj.

Dorota.

Na dusę
Psysięgam, ze nic nie wiem.

Bartłomiej.

Toć i wiezyć musę.

Bardos.

Tak to jest, człowiekowi czasem się przywidzi.

Bartłomiej.

Cós to wam jest, Doroto?

Bardos.

Ot się darmo wstydzi,
Bo ją niesłusznie Waszmość posądzacie,
Chodźmy już. Ale cóż to? pszczoły pono macie
W tej wierzbie, Bartłomieju?

Bartłomiej.

Psed miesiącem były,
Ale nie wiem, dla cego ten ul pozuciły.

Bardos.

Może już tam są znowu, obaczmy.

Dorota *(n. s. przelękniona.)*

Umieram,
Jak go złapie, to po mnie.

Bartłomiej.

Ja co dzień zazieram,
Ale ich nigdy nie ma.

Bardos.

Teraz są zapewne.

Dorota *(n. s.)*

Oj! zginęłam biedna.

Bardos.

Jeśli nie, ja pewne
Dam wam rady, żeby je napowrót przywabić.

Dorota *(n. s.)*

Drżę cała.

Bardos.

Najprzód, trzeba ul dokładnie zabić,
Potem go wysmarować gliną.

Dorota *(n. s.)*

Kiejby jako,
Psestsedz go mozna.

Bartłomiej.

Jać to robie, a wselako
Nie powracają pscoły.

Bardos.

A nie, to spod spodu,
Ot tutaj, trzeba zawsze podłożyć im miodu.

Bartłomiej.

Jać to robie.

Dorota *(n. s.)*

Serce wyleci za drgania,
Ach! nie chcę, nie chcę więcej obcego kochania.

Bardos.

Potem także, trzeba mieć i o pszczołach pieczę.

Bartłomiej.

Jać im dogadzam.

Dorota.

Ten ras, jak mi się upiece,
Psysięgam, ze jus nigdy kochać się nie będę.

Bardos.

Teraz, chciałbym zobaczyć w środku i dobędę
Deszczki

(idzie i otwiera drzwiczki.)

Dorota.

Ach! mdło mi, mdło mi, ratujze mnie Boze!

Bardos.

A to co jest?

(Niby zadziwiony.)

Bartłomiej.

Stach w wierzbie? A cys to być moze?
Aha! to tam się schował a cós pani zono?

Dorota.

Ale, bo to

(pomięszana.)

Bartłomiej.

Widziałem cię ja nieras, ze stodoły.

Bardos.

Nic nie wiecie, co to jest, i ona też pono
Nie wie, Basiu, wyjdź no tu

(Basia wychodzi).

Otóż macie pszczoły.

Bartłomiej.

I ona tam.

(Stach wychodzi.)

Bardos.

A widać, ze Stachem siedziała.

Dorota.

Ta niecnota wsyściutko teras wysłuchała.

Bartłomiej.

Cózeście tam robili?

Bardos.

Jak w parze turkawki,
Siedzieli.

Bartłomiej.

Ale na cós w wiezbie?

Bardos.

Dla zabawki,
Zwyczajnie dzieci.

Stach.

Tak jest, wzdyć to były zarty.

Bartłomiej.

Psuć mi wej ul, tak dobry.

Stach.

Ale nic nie warty,
Bo prózny.

Bardos.

Więc widzicie teraz prawdę szczerą,
Darmoście oto żonę zmartwili, złajali,
Bo to oni przed chwilą z sobą się ściskali.
Przeproście się.

Dorota *(n. s.)*

Och, teras odzyłam dopiero.

Bartłomiej.

No darujcies mi Dosiu.

Dorota.

Ale tak mnie łajać.

Bartłomiej.

No zgoda.

Dorota.

Zgoda.

(Podają sobie ręce.)

(Dokończenie nastąpi).